



UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA
WYDZIAŁ TEOLOGICZNY
SEKCJA W KALISZU

KALISKIE STUDIA TEOLOGICZNE

WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE W KALISZU
2003

WALDEMAR ROZYNKOWSKI

KRONIKA POCZĄTKÓW MNISZEK KAMEDULEK W POLSCE

Wstęp

Historia rodziny kamedulskiej w Polsce sięga już tysiąca lat. Pierwsi kameduli doczekali się nawet chwały ołtarza¹. Niewiele wiemy jednak o mniszkach kamedulek, które są obecne w naszym kraju. Wynika to zapewne między innymi z faktu, że ich historia jest znacznie krótsza niż gałęzi męskiej. W latach trzydziestych XX wieku kilka Polek wstąpiło do klasztoru mniszek kamedulek w La Seyne-sur-Mer we Francji. Był to właściwie początek genezy mniszek kamedulek w Polsce. Cztery mniszki Polki, które przeszły kolejne etapy życia zakonnego, myślały prawdopodobnie o powrocie do ojczyzny. Zrealizowały to jednak dopiero trzy lata po zakończeniu II wojny światowej, czyli w 1948 roku. Po niemałych trudnościach ze znalezieniem odpowiedniego domu zatrzymały się w Złoczewie, niewielkim miasteczku położonym w centrum Polski, niedaleko Sieradza.

Historia fundacji nie doczekała się szczegółowego opracowania, jednak wspomina się o niej w kilku pracach². Osobno warto wspomnieć wydawnictwo po jubileuszowe, wydane z okazji 50-lecia obecności mniszek w Polsce, w którym najpełniej zostały opracowane geneza oraz początki fundacji³.

Przedmiotem naszego zainteresowania jest przechowywany w archiwum domu zakonnego tekst wspomnień (kronika) dotyczący początków sióstr w Polsce. Jest on prawdopodobnie autorstwa m. Gemmy Eliji od Niepokalanego Poczęcia NMP (Jadwiga Szukielojć 1913-1963), pierwszej przełożonej powstającej wspólnoty kamedulskiej w Polsce. Możliwe też, że tę swoistą kronikę spisała pod dyktando m. Gemmy lub na podstawie jej notatek czy wspomnień s. Magdalena (Helena Pelc), która była ówczesną nowicjuszka. Kronika obejmuje okres od sierpnia 1948 roku do kwietnia 1951, czyli niespełna trzy lata. W tym czasie mniszki opuściły Francję, przybyły do Polski, poszukiwały miejsca na dom zakonny i w końcu zatrzymały się w Złoczewie. Opis pobytu w Złoczewie obejmuje połowę tekstu źródłowego. W tym czasie nie dokonano jeszcze kanonicznego otwarcia domu, dopiero

¹ O pierwszych kamedulach w Polsce jak i późniejszych fundacjach zob.: R. WITKOWSKI, *Uwag kilka o eremach kamedulskich w Rzeczypospolitej szlacheckiej*, w: *Historia bliższa i dalsza. Polityka-Społeczeństwo-Wojkowość. Studia z historii powszechnej i Polski*, pod red. S. KOWALA, G. KUCHARSKIEGO i M. WALCZAKA, Poznań-Kalisz 2001, s. 161-225. Tam zob. także obszerną literaturę dotyczącą kamedulów w Polsce.

² K. STARZEC, *Mniszki Kamedulki*, w: *Zakony benedyktyńskie w Polsce, Krótka Historia*, [Tyniec 1981], s. 218 n.; M. BORKOWSKA, *Słownik mniszek benedyktyńskich w Polsce*, Tyniec 1989, s. 126; W. ROZYNKOWSKI, W. SOWA, *Szkiełce z dziejów parafii pw. św. Andrzeja Apostoła w Złoczewie*, Toruń 2000, s. 113-114; tenże, *Z kalendarium parafii św. Andrzeja Apostoła w Złoczewie 1981-2001*, passim.

³ *Mniszki Kamedulki w Złoczewie 1949-1999. Materiały jubileuszowe*, Złoczew 2000, ss. 312. Odnośnie historii domu zakonnego w Złoczewie zob. artykuły: W. SOWULEWSKA, *Mniszki Kamedulki w Złoczewie. Fundacja i rozwój wspólnoty*, w: tamże, s. 171-185; W. ROZYNKOWSKI, *Dokumenty dotyczące utworzenia fundacji Mniszek Kamedulek w Złoczewie*, w: tamże, s. 186-200.

w 1956 roku bp włocławski Antoni Pawłowski wydał dekret erekcyjny „Monasteru Mniszek Kamedułek”⁴.

Źródło zostało spisane w maszynopisie, jest formatu A 4, liczy 23 ponumerowane strony. Posiada swój tytuł: „*Siostry Mniszki Kamedulki w Polsce. Pierwszy klasztor w Złoczewie. Województwo Łódzkie. Złote Betleem od Ukrzyżowanego- kwiecień 1951 r.*” *Terminus ante quem* powstania źródła wyznacza data zapisana na pierwszej stronie, tzn. kwiecień 1951 rok. Miesiąc ten potwierdzają także ostatnie słowa źródła. Nie możemy wykluczyć, że w zachowanej formie kronika była spisana krótko przed datą 12 kwietnia 1951 roku, czyli jak zapowiada samo źródło, przed przyjazdem biskupa włocławskiego Franciszka Korszyńskiego. Idąc dalej tym tokiem rozważań, możemy z wielkim prawdopodobieństwem przyjąć, że kronika powstała ze względu na wizytę ks. biskupa. Tekst został przytoczony w oryginale, dokonano tylko niezbędnych skrótów oraz poprawek gramatycznych.

Czytając źródło dostrzeżemy od razu jego bardzo subiektywny charakter. Opisane tam wydarzenia, które oddają zarówno codzienność jak i wyjątkowe sytuacje widziane były oczyma m. Gemmy. Kronika pisana była z przeznaczeniem dla potomnych, czyli kolejnych pokoleń mniszek, aby nie zapomniały o początkach i głównych bohaterkach tamtego czasu. Znajdujemy tu rzeczy ważne i bardzo blahe, tekst interesujący, ale i czasami bardzo słaby. Wszystko to jednak podkreśla ważność tego źródła dla odtworzenia procesu fundacyjnego mniszek kamedułek w Polsce. Przy okazji oddaje także klimat kościoła i atmosferę pierwszych latach powojennych w Polsce.

Tekst źródła

„BÓG SAM”

SIOSTRY MNISZKI – KAMEDULKI W POLSCE

PIERWSZY KLASZTOR W ZŁOCZEWIE WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE

„Złote Betleem od Ukrzyżowanego” – kwiecień 1951r.

*Człowiek - dziecie nierozsądne, igrając
w piasku nadbrzeżnym
przesypuje kamyczki, układa
wzory, buduje pałace i
warownie, wiatr te
dzieła zasypuje, fala burzy
je i porywa*

*BÓG - naszym życiem, naszymi
dziejami rysuje odwieczną
myśl, odwieczny plan,
odwieczny wyrok!*

JEZU MÓJ – dla większej Chwały Twojej!

⁴ W. ROZYŃKOWSKI, *Dokumenty dotyczące*, s. 197.

20 sierpnia 1948 r. Piękny dzień sierpniowy w południowej Francji. Szczęśliwa La Seyne sur Mer. Szczęśliwa, bo Przedwieczna Myśl Boża urzeczywistniała się w niej i łaskawie zezwoliła, by właśnie w La Seyne założono gniazdo białych siostr mniszek kamedułek pod wezwaniem „Zagroda Betleemska od Dzieciątka Jezus”⁵.

Miejscowość jakby specjalnie przeznaczona na siedzibę pustelnic. A może Boża Dziecina, złożona Macierzyńskimi Rękoma w kamiennym żłóbku w przenikliwie zimnej stajence betlejemskiej, drząc z zimna, wyśniła ten precudny krajobraz nadmorski i Swój niemowlecy kaprys senny umiejscowiła w La Seyne i przeznaczyła La Seyne na siedzibę klasztoru s. kamedułek – i za ich milczące, pełne zaparcia się siebie i pełne poświęcenia życie pokutne dla ratowania dusz zbłąkanych, złoci ich doczesną wędrówkę pieszczołami ciepłych promieni słonecznych, łagodzi twardość sposobu życia, określonego surową regułą, łagodnym muskaniem wiatru, a w pozomą monotonię ciszy klasztoru mniszek wprowadza kołyszący szum fal morza Śródziemnego, tak mile nastrajający i tak usposabiający myśli i ułatwiający godzinę medytacji wieczornej.

Snują się po ścieżkach ogrodu – lasu klasztorowego milczące, białe postacie mniszek. Duże białe słomkowe kapelusze o szerokich skrzydłach, które chronią ich głowy przed za silnie jeszcze operującymi promieniami chylącego się ku zachodowi słońca. Ocienione ich twarze pełne radosnej powagi..., ich oczy – pełne zadumy, nie wiem, czy patrzą w głąb ich duszy..., czy też gonią za pełnymi tęsknoty myślami, za całym kłębem myśli, ogniskującym się w jednej myśli?

Ogród jest pełen ciszy, ale zarazem pełen życia – są białe siostry, a z nimi – wprawdzie niewidzialny, ale przenikający całą naturę i całe ich jestestwo – Bóg.

I w każdej z nich towarzyszy. Żadnej nie skąpi Siebie. On jest w ich sercach. Jest jako mała Boża Dziecina, jest jako rosnący w mądrości i latach, jest jako niestrudzony Wędrowiec – Mistrz nauczający, czyniący cuda, jest pełen współczucia i miłosierdzia, jest goniony zawistnymi i pełnymi obłudy spojrzzeniami faryzeuszów i saduceuszów, jest triumfalnie prowadzony, jest w ociekającej Krwią koronie cierniowej, jest i w każdej stacji Swej bezcennej Męki, jest w chwale Zmartwychwstania i Wniebowstąpienia, jest – tulący do Miłością gorejącego Serca znużonych i spragnionych.

Ogród mniszek w swej ciszy przeżywa równocześnie radość i smutek, szczęście i cierpienie, ukojenie i tęsknotę. Jednak nader przezorny, bo schowany w wysmukłej wieżycze klasztoru dzwonek, zazdrości tej ciszy, temu obcowaniu z Bogiem. Bo i on przecież chce oddać chwałę swemu Panu, i pełen dumy silnymi uderzeniami swego serca chce rozdzwaniać na całą okolicę, że czas na modlitwę, że *Angelus Domini nuntiavit Mariae...* Chcąc więc oddać cześć Słowu Wcielonemu i uradować Niepokalaną Panią i Trójcę Przenajświętszą, rozdzwonił się teraz właśnie, by zwołać nas kamedulki na kompletę, byśmy i my z nim razem odmówiły *Angelus Domini*. Zrzuciwszy kapelusz, wchodzę do pełnych ciszy i przyjemnego chłodu korytarzy klasztornych. Idę do kaplicy, przepojonej zapachem kadzidła i kwiatów.

Angelus Domini – głos sygnaturki. Gonię myślami tam, dokąd już jutro wyruszymy z s. Teresą⁶ i s. X⁷. I tam w Polsce o tej porze rozbrzmiewają sygnaturki kaplic i kościołów na *Angelus Domini*.

Wychodzę z kaplicy i krążę po naszym ogrodzie i naszym lesie, pięknym wieńcem obrzeżającym nasz klasztor. Może wśród tych pierzastych palm i strzelistych cyprysów znajdę współczucie? – Lecz jeszcze większy smutek i żal ogarnia mnie. Cyprysy, jak w alejkach cementowych – straż honorowa imponujących budową grobowców – i ciemna swej zieleni pogłębiają mój ból. Palmy swymi wydłużonymi łodygami, jakby chciały głądzić rozpalone moje skronie i pożegnać mnie na zawsze, ale z dumą kłaniają się tylko powściągliwie. Słyszę morze, ale nie jest to łagodny szum – dzisiaj, choć spokojne, jakoś dziwnie huczy, jęczy – czyż naigrawa się ze mnie? Szydzi i cieszy się z mego bólu? Wzrok mój kieruje ku wysokiemu baldachimowi nieba, wybitemu lazurowym błękitem. Lecz i niebo smutek mój podziela – dziś inne, nasila i tak bezdenną swą barwę, jakby chciało we lzy skropić swój lazur.

⁵ Zob. R. LAZZERI, *Mniszki Kamedulki we Francji. Klasztor w La Seyne-sur-Mer*, w: *Mniszki Kamedulki w Złoczewie*, s. 163-170.

⁶ W świątce Stefania Miładowska.

⁷ Chodzi o s. Marie-Ange (Maria Aniela), która później wystąpiła z zakonu. Zapewne z racji różnych perypetii związanych z jej osobą w źródle określona została znakiem X.

Wracam do domu, by przeżyć wieczór pożegnalny. Brzoskwinie i figi żegnają mnie, ale jeszcze kuszą by pozostać, śmiejąc się do mnie ciepłą ponętą barwą dojrzałych owoców, pęczniejących od pachnącej słodyczy. Obojętna, ciągnę dalej i wsłuchuję się w dolatujący mnie rozpaczliwy krzyk mew, - Czy to okrzyk pożegnania? Czy żalu? Czy też przestrogi? Ale przed czym? Dlaczego świadomość rozłąki wzniesła taki ból i żal? Dlaczego ogarnia mnie lęk i niepokój? Na podwórzu spotykam s. Teresę i s. X. Otaczają nas Matka Przełożona⁸ i siostry. Chwila pożegnania. Idę do celi. Chciałabym zasnąć, lecz nie potrafię. Nerwy moje napięte do najwyższego stopnia – wydaje się, że popękają. Ostatni wieczór w ukochanym gniazdku. Przez całą noc nie zmrzyłam oka, za kilka godzin opuszczę te ukochane progi. Przeżywam straszliwy dramat.

Nastał wczesny ranek, jest jeszcze ciemno. Matki i siostry składają na naszych policzkach ostatni pocałunek pożegnania. Oczy pełne łez. Mną szarpie głęboki szloch. Powoli odjeżdża powóz. Ostatni raz spoglądamy na nasze ukochane gniazdko. Pociąg osobowy zwozi nas do pierwszego etapu podróży – Ales. Tu oczekuje nas pociąg towarowy dla repatriantów. Snopy czystej słomy zaścielają podłogę wagonów. Nas przeznaczono do wagonu wspólnie z jedną rodziną. Nasi sąsiedzi nader uprzejmi i wyrozumiali, zawiesili zasłonę, byśmy swobodnie mogli się rozlokować. Nasz pociąg oczekiwał przez kilka dni na zbiórkę całego transportu repatriantów. Skorzystaliśmy więc z gościnności s. franciszkanek i zatrzymałyśmy się u nich. Doznałyśmy tam prawdziwie macierzyńskiej opieki i gościnności. Na pożegnanie obdarowały nas szczerze, zaopatrując w czekoladę, różne słodycze, pończochy itd.

23 sierpnia dalsza podróż. Drażniła mnie radość naszych współtowarzyszy podróży. Wesołe rozmowy, śpiew młodzieży rozlegały się wokół nas. A mnie ogarniał coraz to większy żal, coraz większy smutek za opuszczoną „Zagrodą Betleemską”. Z bólem serca wsłuchiwałam się w jednostajny stukot kół, pędzącego, których każdy obrót oddalał mnie od szczęśliwej La Seyne, a zbliżał do czegoś nowego, do czegoś, co napawało mnie jakimś niewytłumaczonym i nieznanym lękiem. Mijane piękne i bardzo urozmaicone krajobrazy, zmieniające się jak w kalejdoskopie, budzące zachwyt i zainteresowanie w każdym podróżnym, nie pociągały mnie. Smutek i ból czyniły mnie nieczułą nawet na piękno, nieczułą na to, że wracam do swej Ojczyzny, w której oczekują tak bardzo spragnieni naszego powrotu nasi rodacy. Coraz wyraźniej świdruje w moim mózgu myśl powrotu do szczęśliwej La Seyne, ponętą pokusa powrócenia do La Seyne. Z wielkim trudem udało się s. Teresie powstrzymać mnie do wykonania zamiaru.

W Lyonie przeżywam ponownie okrutną walkę wewnętrzną. Dusza, serce rwą się do gniazdku, a obowiązek stanowczym swym głosem bierze górę nade mną.

Strassburg, francusko-niemiecka stacja graniczna. Tu następuje przełomowa chwila. Granica – oddawanie paszportów i kartek żywnościowych. Przyszła na mnie kolej. Kilkakrotnie cofałam rękę z dokumentami – przecież to ostatni moment – mogę jeszcze wrócić, ale nagłący ton i surowe spojrzenie urzędnika rozwiały moje marzenia – oddałam paszport – wracam do Polski. Łzy żalu jak grad sypią się z mych oczu. Nie myślałam wcale o tym, że wszyscy zwracają uwagę na płaczącą zakonnicę, zupełnie jak jakiś automat weszłam do przedziału. Za chwilę bezlitosny pociąg zaczął nas porywać coraz dalej od La Seyne, wymachując ku nam siedzącym przy drzwiach wagonu, kitą kłębiącą się dymu, jakby mnie teraz zupełnie bezwolnej na urągawisko.

Wracamy do Polski na zarządzenie władz. Mamy tam stworzyć pierwszą, polską, żeńską rodzinę kamedulską. Jak to zorganizować? Czy potrafimy? Czy będą trudności? Znam przecież bardzo dokładnie początki naszej Fundacji w La Seyne. Ale my przecież jedziemy do Ojczyzny, gdzie oczekują nas rodacy. Z radością będą nas witać, otoczą opieką, będą pomagać dobrą radą, pomocą materialną. Czekają na nas nasi o kameduli, inne zakony, duchowieństwo – nie pozwolą by spotkała nas jakakolwiek przykrość. Wkrótce ściągnie nasz klasztor gromadkę dobrowolnych pustelnic, pełnych ducha ofiary i zaparcia się siebie i stworzy się prawdziwa nasza polska rodzina kamedulska. W Polsce, na wskroś katolickiej, znanej jako przedmurze chrześcijaństwa, szybko i łatwo ugruntujemy nasz pierwszy klasztor.

Wczesnym rankiem przybył nasz transport do Międzyzlesia. Pierwsze nasze kroki na ziemi Ojczystej, zdeptanej ciężkim butem najeźdźcy, skierowałyśmy do domu naszego sprawiedliwego Ojca,

⁸ Była nią ówczesnie m. Maria Joanna od Matki Bożej Bolesnej (Emma Tirelli), żyjąca w latach 1886-1957.

by ze łzami wdzięczności i aktem uwielbienia oddać cześć Jego miłości szalonej Jego mocy i sprawiedliwości. Przed wejściem do kościoła zatrzymał nas, na pewno ciekawy nowych zakonnic, ks. Tomaszewski⁹. Skoro dowiedział się od nas, kto my jesteśmy, bardzo serdecznie przywitał nas i był dumny, że on pierwszy miał zaszczyt witać pierwsze Kamedulki na polskiej ziemi. Wypytywał nas dokładnie z wielkim zainteresowaniem o wszystko. Nadmieniliśmy, że najpierw jedziemy do Wrocławia, by zgłosić się u Administratora Apostolskiego ks. Biskupa Milika Karola¹⁰. Ks. Tomaszewski przewidując, że Kuria może być zamknięta, podał nam adres swoich sióstr mieszkających we Wrocławiu, byśmy mogły się u nich zatrzymać. Polecając się jego modlitwom, pożegnaliśmy naszego pierwszego znajomego.

U stóp tabernakulum, wpatrzona oczyma duszy w postać Jezusa pełną spokoju i promieniającą dobrem nieziemskim, drażącymi wargami powtórzyłam słowa, których kiedyś uczył uczniów swoich: *fiat voluntas Tua*. Tu dopiero w tym kościele, po przeżyciu czarnych chwil przez duszę moją, uświadomiłam sobie, że i ja przecież jestem z gromady uczniów jego, uczniów miłujących Mistra swego nade wszystko, i poświęcających życie swoje wyłącznie dla Niego. *Fiat voluntas Tua* – bądź wola Twoja o Panie – Przyjechałyśmy do Polski szczęśliwie i – bądź wola Twoja o Panie Święty! A Ty Pani Przenajświętsza, Pani, którą tak kocham w obrazie Ostrej Bramy, otocz nas swym pełnym miłosierdzia płaszczem, opiekuj się nami, kieruj, prowadź naszą małą gromadkę i wspieraj, byśmy rozrosły się w liczną rodzinę, która swym życiem, ratując dusze, będzie wielbiła Ciebie i Twego Syna-Boga!

Tym moim szepcącym modlitwom towarzyszyły milczące modły s. Teresy przerywane częstymi westchnieniami. Co ona składała u stóp tabernakulum – nie wiem, ale na pewno akty dziękczynienia oraz prośby o błogosławieństwo dla naszej przyszłej rodziny, - pełna pokory klęcząca pochyłona postać, już sama przez się zdradzała żarliwość modlitwy i tajemne zjednoczenie jej serca z Umiłowanym.

W tej naszej cichej pełnej słodyczy rozmowie z Panem nabrałyśmy otuchy, sił, a ufność w Boże Miłosierdzie, jaka przepoiła nas, opancerzyła nasze serca jakby stałą, i wydawało mi się, że już nigdy nie opanuje mnie lęk, bo wierzę i ufam bezgranicznie Panu, Który nas prowadzi! – Jakby nowym życiem obdarzone, pełne radości spieszenie wracamy na dworzec, - lecz o zgrozo! dowiadujemy się, że nasza siostra X. nie uprzedzając nas, opuściła nas potajemnie¹¹.

Następnego dnia późnym wieczorem przyjechałyśmy do Wrocławia, prastarego grodu piastowskiego. Boże Kochany! Jakżeż inaczej wyobrażałam sobie to miasto, pamiętające dawne dobre czasy, pamiętające dzielnych przodków, stawiających czoło najeżdżającej pogańskiej dzicy. Smutek osiadł na naszych sercach. Jechałyśmy dorożką. Niestety przewidywania ks. Tomaszewskiego spełniły się. Kuria zamknięta, więc udałyśmy się pod wskazany adres ul. Matejki nr 3 do sióstr ks. Tomaszewskiej.

Smutne uczucie nas ogarniało coraz bardziej. Przyjechałyśmy z zachodu, gdzie spotykałyśmy miasta pełne życia o każdej porze dnia i nocy. A tu w tej drugiej, że tak nazwę, stolicy Polski, wita nas jakby żaloba jakaś. Dorożka wiezie nas zupełnie nieoświetlonymi ulicami, zamiast kamienic sterczą ku niebu ruiny zbombardowanych i wypalonych kilkupiętrowych domów. Przejeżdżamy jakby przez wymarłe miasto – nie ma domów, nie ma ludzi, nie ma życia. Sterczące ruiny i wytrzeszczone oczodoły niedawnych okien i drzwi, straszą nas grozą zemsty nędzy ludzkiej, jaką same przeżyły. Zamykam oczy i półsenna widzę niedawno co opuszczone piękne, czyste miasta. Mimo woli wypowiadam pytanie: Po cóż przyjechałyśmy! Dlaczegoż opuściłyśmy Francję? Po cóż przyjechałyście do Polski? – powtarza jak echo wartujący milicjant, salutujący nas z dziwnie smutnym spojrzeniem.

Panie Tomaszewskie bardzo serdecznie nas przyjęły – ugościły i ułożyły troskliwie na słusznie zasłużony spoczynek.

⁹ Być może chodzi tu o postać ks. Eugeniusza Tomaszewskiego (ur. 1918 roku), wykładowcę w seminarium duchownym we Wrocławiu. Zob. W. URBAN, *Archidiecezja wrocławska w latach 1945-1965*, Nasza Przeszłość, t. 22: 1965, s. 53.

¹⁰ Ks. Karol Milik nie był biskupem, od dnia 1 IX 1945 roku pełnił funkcję Administratora Apostolskiego na teren archidiecezji wrocławskiej. Zob. W. URBAN, *Archidiecezja wrocławska*, s. 16 n.

¹¹ S. Maria Aniela odłączyła się od s. Gemmy i s. Teresy, później jednak nawiązała z nimi kontakt ponownie.

W poniedziałek zameldowałyśmy się u ks. Karola Milika Administratora Apostolskiego. Na nasz widok wyraził słowa wielkiego zdumienia, gdy spodziewał się, że o wiele prędzej przyjedziemy, miał dla nas już wybrany piękny dom, wyremontowany nad rzeką Piłą – niestety, nie sądząc, że przyjedziemy, oddał do dyspozycji innym siostram. Tak jechałyśmy z taką pewnością, że będziemy miały dom, a tu niestety stało się inaczej! Nasza Matka we Francji była w porozumieniu z ks. Milikiem, wszystko było listownie omówione i byłoby na pewno wszystko w porządku – miałyśmy swój dom już, gdyby właśnie nie to, że list naszej Matki uprzedzający ks. Milika o późniejszym naszym przyjeździe do Polski, a odkładanym dla dokończenia formalności paszportowych, zginął w drodze. Rozgoryczone i bezradne wyszłyśmy z kurii – i co dalej? Zostałyśmy formalnie na bruku. Jednak szybko otrząsnęłyśmy się z przygnębienia i zdecydowałyśmy się jechać do Warszawy do ks. kardynała Augusta Hlonda¹², naszego wielkiego przyjaciela z okresu jego pobytu we Francji. Mieszkał niedaleko w sąsiedztwie La Seyne, a ponieważ pokochał nasz klasztor, więc był bardzo częstym gościem „Zagrody Betleemskiej”. I właśnie on całym sercem zapragnął, by i Polska miała s. kamedulki i dlatego w dużej mierze przyczynił się, że wróciliśmy do Ojczyzny.

Ks. kardynał przyjął nas z wielką radością. Gorącymi swymi słowami uspokoił nasze obawy co do naszej przyszłości, a zapewniając o swej pomocy w każdej naszej potrzebie, wyraził się, że „strzec nas będzie jako żrenicy oka”. Wspomógł nas sowiec i skierował do ks. Nowickiego Edmunda – biskupa w Gorzowie¹³.

Ks. Nowicki ofiarował nam swój dom w Szczecinie, a właściwie nie dom, a wspaniały pałac – i wprawdzie pałac, ale bez okien, drzwi, pełen gruzu, brudu i nieczystości. Wnętrze wspaniałe wykończone, klatka schodowa, witraże w oknach, piękna balustrada, holl, olbrzymie komnaty wykładane boazerią, drzwi rozsuwane – doprowadzić to wszystko do właściwego stanu, byłby istny pałac królewski. Podobał nam się bardzo, ale niestety nie odpowiadał naszemu życiu pustelniczemu, przyległy park również piękny, ale to nie dla nas.

Początkowo byłyśmy tylko z s. Teresą. Życie nasze w tym tymczasowym schronieniu było wcale nie kamedulskie – nie mieszkał z nami Pan Jezus, więc codziennie chodziliśmy do Kościoła Królowej Korony Polskiej¹⁴. Na rozmowę z naszym Oblubieńcem bardzo mało pozostawało nam czasu. Siostra Teresa wskutek zmiany klimatu zaniemogła i wyjechała do szpitala na kilkumiesięczne leczenie. Zostałam sama, ale nie poddawałam się apatii. Zabrałam się do pracy. Centymetr po centymetrze zdobywałam pałac od zalegającego go gruzu i wszelkiego rodzaju zanieczyszczeń.

Raniutko Msza św., następnie praca oraz do wyboru: czy dzisiaj będzie kolacja, czy śniadanie, czy też obiad. Bo mogłam pozwolić sobie jeść tylko raz dziennie: suchary z chleba z gorącą wodą. Tak wprawdzie długo nie trwało, ale często. Skoro uporałam się z doprowadzeniem domu do ładu, zaczęłam oddawać się pracy zarobkowej. Znalazły się dusze przyjazne – przede wszystkim księża. By przyjąć mi z pomocą dawali bieliznę kościelną do prania. W ten sposób zarabiałam. Ale i ta praca była terminowa. By być słowną również po całych nocach prałam, suszyłam, prasowałam. Ta wyczerpująca siłę moich rąk i całego organizmu praca trwała przez kilka długich miesięcy. Niedziele byłam zmuszoną zamienić na dzień znoej pracy.

Stopniowo zaczęli zaprzyjaźniać się ze mną dobrzy ludzie, wspomagali mnie, tak że zaczęłam łatwiejsze życie. Szczególnym opiekunem okazał się o. Rajski – jezuita¹⁵. Przychodził zawsze z

¹² Hlond August (5 VII 1881- 22 X 1948), kardynał, prymas polski.

¹³ Nowicki Edmund (13 IX 1900-10 III 1971), administrator apostolski w Gorzowie w latach 1945-1951. Błędnie podano, że był wtedy już biskupem. Mianowany biskupem tytularnym Hadriane z przeznaczeniem na rządcę diecezji gdańskiej dopiero 26 IV 1951 roku. Zob. M. PELCZAR, J. PIETRZAK, *Nowicki Edmund*, w: *Polski słownik biograficzny* (dalej PSB), t. 23, s. 314-315; M. CHORZEPA, *Rozwój organizacji kościelnej na Ziemi Lubuskiej i Pomorzcu Zachodnim w latach 1945-1965*, *Nasza Przeszłość*, t. 22: 1965, s. 118 n.; E. NAPIERAŁA, *Ks. dr Edmund Nowicki administrator apostolski w Gorzowie Wlkp.*, w: *Diecezja zielonogórsko-gorzowska. Księga pamiątkowa*, Zielona Góra-Gorzów Wlkp., 1998, s. 55-62.

¹⁴ Chodzi tu o kościół parafialny p.w. MB Królowej Korony Polskiej. Był to dawny kościół poewangelicki, przy którym od 1936 roku erygowano parafie.

¹⁵ Ks. Woktor Rajski, ur. 1911 r., do zakonu wstąpił w 1931 r., wystąpił z niego w 1960 r. Jezuita przebywał w Szczecinie od 1945 roku, gdzie przejął w użytkowanie kościół poprotestancki. Zob. *Encyklopedia wiedzy o jezuitach na ziemiach Polski i Litwy*, oprac. L. GRZEBIEN, Kraków 1996, s. 658, 854.

pomocą. I wtedy gdy już sama nie byłam, starał się wyprzedać nasze myśli, a dobrych rad nigdy nie szczędził. Cieszył się z nami każdą naszą zdobyczą, każdą naszą radością – dzielił z nami i smutek i radość. Ale dzielił się również paczkami, które otrzymywał od swoich rodziców. Zazwyczaj paczkę (a były one zawsze kilkunastokilogramowe) przynosił wprost z poczty i tylko z nami otwierał je i wszyscy zajadaliśmy się przysłanymi smakołykami.

Miałyśmy również jako bardzo życzliwego nam protektora gorzowskiego ks. Nowickiego Edmunda. Ks. Nowicki szczerze się nami opiekował, postarał się i zakupił drzewo, węgiel, dzięki niemu otrzymywałyśmy dary UNRRA – był dla nas prawdziwym św. Mikołajem. Jednego dnia zapowiedział się przez ks. dziekana Tadeusza Załuczковского¹⁶.

Aby życie nasze nie było osamotnione postanowiłam uzyskać zezwolenie na urządzenie domowej kaplicy. Ks. Nowicki prośbę moją odrzucił – wydawało się, że bezapelacyjnie – twierdząc, że dla trzech osób nie można przechowywać Pana Jezusa. Ale ja, co postanowię, to muszę tego dokonać. Pomieszczenie odpowiednie jest – pokój na piętrze, w którym dawniej mieściła się kaplica. Dlaczegoż nie można tego wykorzystać? Miałybyśmy piękną kaplicę. Ściany są wykładane boazerią, sufit o łukowym sklepieniu, błękitnie malowany i ozdobiony złożonymi ornamentacjami z drzewa. Chodzi więc tylko o samo urządzenie kaplicy. Skąd i jak, nie mając pieniędzy. Ale przecież mamy o. Rajskiego i w tym wypadku nas nie zawiodł. Wypożyczył dla nas od o. jezuitów ołtarz, tabernakulum, ja wystarałam się o dywan i kaplica gotowa, czeka tylko na zamieszkanie – chyba teraz Jezus nie odmówi Swej obecności.

Z wielką niecierpliwością oczekiwałam ks. Nowickiego. Modliłam się, by jak najprędzej przyjechał. I gdy przyszedł, powiedziałam, że pragnę pokazać mu to, czym na pewno się bardzo ucieszy. Więc poszliśmy. Otwieram drzwi na całą szerokość i wprowadzam ks. biskupa do kaplicy. Teraz już nie odmówił zezwolenia. I już Jezus był odtąd z nami pod jednym dachem.

Każdy zrozumie na pewno nasze uczucia, jakie przeżywałyśmy podczas pierwszej Mszy św., odprawianej przez ks. dziekana Załuczковского. Co za szczęście – Jezus w naszym domu, razem z nami – z każdą radością, z każdym smutkiem, z każdą troską – do kogoż, jeśli nie do Tego, który jest źródłem pokoju i radości. Możemy bez względu na porę iść i rozmawiać z Jezusem.

Ale jeśli Jezus mieszka już w tabernakulum, musi być przecież i stała adoracja, stały blask uwielbienia i stały znak – malutka lampeczka nieustannie gorejąca, a oznajmująca, że Jezus tu mieszka utajony w bieluchnym, subtelnym płatku. A w naszej kaplicy świeciła zwyczajna żarówka, zawieszona na zwykłym kablu. Przykro było patrzeć i zawsze wdychałam by zdobyć wieczną lampkę. O. Rajski te moje wdychania widocznie musiał podłuszczać, bo gdy jednego dnia wróciłam z miasta, o. Rajski wybiegając naprzeciw mnie do bramy, już z daleka wołał bym się spieszyła bo Jezus mnie woła. Posłusznie szybko podążyłam za ojcem, nie mając wiele czasu na zastanawianie się nad znaczeniem jego słów. Weszliśmy do kaplicy i jeszcze nie wiedziałam o co chodzi. Dopiero przekreślił kontakt zabłysło piękne światelko, pięknie rozrzucające czerwone promienie na całą kapliczkę. Świeciła Jezusowi wieczna lampka.

Diękując o. Rajskiemu za tę niespodziankę, za tę jego troskliwość w naszych potrzebach, w duchu modliłam się by serce moje, serca naszych sióstr i serca przyszłych polskich kamedulek były żywymi gorejącymi miłością ku Jezusowi wiecznymi lampkami.

W kilka miesięcy po przyjeździe naszym do Szczecina zgłosiła się do nas druga kandydatka. Przyjęłyśmy ją, ale jak okazało się była to osoba nie bardzo normalna, wobec czego wydaliliśmy ją. Lecz ona, uważając się za pokrzywdzoną pojechała do ojca przeora o. kamedulów na Bielanych pod Krakowem. Tam przedstawiła nasze warunki w bardzo czarnych kolorach, że głodujemy, mieszkamy bez okien, itd. Na skutek tych jej bredni otrzymałyśmy list z Bielan współczujący nam bardzo i ubolewający nad naszym losem. O. przeor Maryn Kotwicki bardzo zmartwiony tym stanem rzeczy przesłał nam równocześnie dwa tysiące złotych.

Następnie przyjechał z pierwszą wizytą, a zarazem wizytacją. Od tej chwili zaczął opiekować się nami z całą gorliwością. Przede wszystkim nie miałyśmy przełożonej, więc zajął się tą sprawą. Pisał do Francji do naszej matki opatki, do naszego ks. biskupa we Francji, zwrócił się do polskich władz

¹⁶ Więcej o tej postaci zob.: A. TYMCZYJ, *Ks. Tadeusz Załuczkowski wikariusz generalny*, w: *Diecezja zielonogórsko-gorzowska*, s. 63-66.

kościelnych – o wybór przełożonej s. kamedulek w Polsce. W wyniku przeprowadzanych korespondencji i po zgodnym porozumieniu się, tak władze klasztorne we Francji oraz ks. biskup, jak również Polacy przełożeni wybrali s. Gemmę Eliję od Niepokalanego Poczęcia, to znaczący mnie.

Z dnia na dzień wzrastało zagmatwanie, oplątujące mnie jak siecią, pętające mój umysł całymi chmurami wrogich podszeptów, czy podołam, czy potrafię kierować tą naszą młodzieńką rodziną wśród takich niesnasek, wzniesionych chyba przez samego szatana? Odczuwając to wszystko wpadłam w jeszcze większe wątpliwości, ręce mi opadły – chyba sam Bóg nie chce, by to dzieło powstało. Poczęła ogarniać mnie fala tęsknoty za Francją, za szczęśliwą La Seyne, za Clos Bethlehem. Postanowiłam wrócić do Francji, jednak postanowienie to nie doszło do skutku, pomimo usilnych mych starań i zabiegów, pomimo, że p. konsul francuski był naszym przyjacielem. Konsulat francuski nie był w mocy wystawić wiz. Modlitwy moje o powrót do Francji zamieniłam na błagania o siły i energię do zwalczania rosnących przeciwności. Wysiłki siostr Stanisławy i X. jednak okazywały się bezcelowe.

O. jezuita w osobie o. Rajskego, o. Hamaty¹⁷, o. Chmury¹⁸ podali mi pomocną rękę. Nie zwracali uwagi na intrygi naszych siostrzyczek, zwłaszcza o. Rajskego, który nieustannie wspomagał i wspierał mnie, był nieugięty i odporny na ich oszczerstwa.

Do tej domowej walki doszło nowe zmartwienie – rząd odbiera nam pałac, jesteście znowu przed widmem utraty dachu nad głową. Ks. Nowicki usilnie prosił nas, byśmy nie opuszczały pałacu i byśmy wszelkimi siłami starały się nie oddać go. I pomimo tego, że pałac nam nie odpowiadał, byłbyśmy jeszcze zabiegały o utrzymanie go, ale znowu na wrogim polu bitwy ukazał się ks. Wnuk¹⁹ – kierownik s. skrytek. Ten znowu w arogancki sposób począł rościć sobie pretensje do naszego domu – formalnie nas wyrzucił. By uniknąć zupełnie niepotrzebnych awantur (o zgrozo wśród osób duchownych!) odstąpiłyśmy jedną komnatę s. skrytkom, a ja rozpoczęłam pogoń za odpowiednim dla nas obiektem. Była to prawdziwa gonitwa, zaczęłam obiegać wszystkie urzędy w Szczecinie. Wędrowka ta wydawała się, że nigdy się nie skończy. Całymi długimi dniami od rana do wieczora. Od prezydenta do wojewody, od komisarza jeszcze do innego dygnitarza, schodami aż na czwarte piętro, z czwartego piętra na parter, stamtąd na drugi koniec miasta. Tu znowu długimi korytarzami i jeszcze dłuższymi dywanami – chodnikami, przez jakieś drzwi, długością sztywnego gabinetu, napuszczonego sztucznym luksusem urzędzenia, dreptałam przed biurko ważnego naczelnika wydziału, chyba spraw nigdy nie załatwianych.

Całymi tygodniami trwała ta moja bieżączka. Na pomoc zjechał o. przeor z Bielana. I znowu on rozpoczął starania na wszystkie strony. Niestety w Szczecinie nasze usiłowania były daremne. Pojechaliśmy więc z ojcem do Warszawy, następnie do Olsztyna, ale również bez rezultatu. Nic odpowiedniego. Zjechał nam prawie całe Pomorze. Te nasze podróże wcale nie należały do przyjemności. Przepelnienie w pociągach, jazdy różnego rodzaju środkami lokomocji, wreszcie odległe piesze wędrowki przy silnych upałach słonecznych, dotkliwie dawały się nam we znaki. Ale na nic nie zważaliśmy, udawaliśmy się zawsze z świeżą radością, z świeżą nadzieją znalezienia wreszcie czegoś odpowiedniego. Wskazywane obiekty albo były w silnym stopniu zniszczone – wymagające wielkich wkładów, albo zbyt małe, by w swych murach pomieścić przyszłą rodzinę kamedulską.

Wreszcie dzięki Miłosiernej Opatrzności Bożej udaliśmy się do Włocławka do ks. biskupa Karola Radońskiego²⁰. Byliśmy do głębi wzruszeni serdecznym, ojcowskim przyjęciem ks. biskupa Radońskiego, w rezultacie którego wyjechaliśmy osobowym samochodem ks. biskupa, zaopatrzeni w adresy obiektów klasztornych, w upoważnienie do obejrzenia ich, w błogosławieństwo arcybiskupie i odpowiedni zapas benzyny. Zapas benzyny mieliśmy do zawdzięczenia ks. kanclerzowi Grajnerowi²¹,

¹⁷ Ks. Michał Harmatij (1913-1970), zaraz po wojnie trafił do Szczecina gdzie kierował parafialnym oddziałem „Caritasu” wspomagając napływającą ludność polską do pomieckiego miasta. Zob. Encyklopedia wiedzy, s. 210.

¹⁸ Być może chodzi o ks. Władysława Chmurę (1896-1957)? Zob. Encyklopedia wiedzy, s. 91.

¹⁹ Bliżej nieznan. Zob.: *Diecezja zielonogórsko-gorzowska Księga Pamiątkowa*, s. 727.

²⁰ Karol Mieczysław Radoński (7 X 1883-15 III 1951), biskup włocławski w latach 1929-1951. Zob. J.P. GRAJNERT, *Radoński Karol Mieczysław*; w: PSB, t. 29, s. 741-748.

²¹ Ks. Jan Paweł Grajner (1909-1987) kanclerz Kurii Diecezjalnej we Włocławku. Zob. Kronika Diecezji Włocławskiej, 1988, s. 94-96.

który nie żałował ani czasu ani uprzejmości swej, by ją zdobyć, pomimo, że stacja benzynowa była nieczynna i magazyn zamknięty, prawie cały dzień chodził, aż mu ją wydano.

Z pośród obiektów, jakie wskazał nam ks. biskup Radoński, wybór nasz padł na klasztor w Złoczewie²². Wreszcie znaleźliśmy, wreszcie będziemy miały swój dom, swój klasztor. Tu powtórzę słowa za psalmistą pańskim: „Jeżeli Pańskiej nie macie pomocy, na nic się przyda ustawać o północy”²³, - wierzę w to, że trudy jakie położyliśmy wraz z ojcem mało się przydały, na pewno zaważyła cena naszej gorącej nowenny, jaką odprawiłyśmy, prosząc w niej tylko o jeden dom, ale nawet o dwa domy. I nowenna nasza przyniosła nam dwa domy, co jest jasnym i wyraźnym uzasadnieniem twierdzenia psalmisty. Znaleźliśmy dom w Złoczewie i dom w Słupsku i skutkiem tego rodzina nasza musiała się rozbić na dwie części. S. Teresa i dwie postulantki do Słupska – tam dom ładny z wszelkimi wygodami, łazienki, bieżąca woda itd. Potrzebny tylko lekki wkład. Ale co najważniejsze brak kościoła własnego, trzeba będzie spacerować daleko codziennie do parafialnego.

Ja z dziewięcioma postulantkami do Złoczewa. Ks. biskup Radoński uprzedził, że w klasztorze w Złoczewie mieszkają rodziny świeckie, cały jest zajęty, więc radził, bym najpierw listownie załatwiła ich usunięcie, jechać już nie ma sensu²⁴. Lecz ja zastanowiłam się i poprosiłam ks. biskupa, bym mogła jednak pojechać, bo osobiście to łatwiej i prędzej takie sprawy się załatwi. Widząc moją stanowczość ks. biskup zgodził się na mój wyjazd. Spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy, wzięłam trzy postulantki: Zosię, Helenkę i Gienię i z końcem października 1949 r. pojechałyśmy do Złoczewa. Przyjazd nasz do Złoczewa sprawił nie małe poruszenie. Widok zakonnic dla tutejszych mieszkańców był czymś nowym. Skoro wysiadłyśmy z autobusu, otoczyła nas gromada dzieci i troskliwych osób starszych. Tu przy tym przystanku autobusowym tuż przy bramie naszego klasztoru, to chyba najważniejszy punkt Złoczewa, bo autobus jest tym łącznikiem Złoczewian z resztą świata. Serca nasze radośnie były na widok ubożuchnego Betleem. Ale choć mały kościółek, ale piękny i własny, z dała od gwaru, huku i szumu wielkomiejskiego.

W klasztorze pełno świeckich. Otrzymałyśmy najpierw jeden pokój od p. Krajewskich. Pownosiłyśmy naszą nędzę – tobołki, a dobre serca ludzkie poskładały się jak na ubogich – ten łóżko, ta sienniki, inna znowu krzesło itd. W tym punkcie na horyzoncie naszego życia kamedulskiego wpłynęła jak dobra wróżka. Energiczna, ukrywająca złote serce pod codzienną szatą swej osobowości – p. Weronika Bonikowska, również mieszkanka klasztoru. Na przywitanie uraczyła nas kozim mlekiem i czymś chata bogata.

Po prowizorycznym rozlokowaniu się, złożyłyśmy wizytę miejscowemu pasterzowi, a był nim podówczas ks. dziekan Antoni Owczarek²⁵. Przyjazd nasz do Złoczewa i objęcie klasztoru przyjętą z wielkim entuzjazmem, który nie kończył się na słowach. Ks. dziekan otoczył nas prawdziwie ojcowską opieką i troskliwością. Od pierwszej chwili zajął się nami, nie szczędząc nam nigdy swej rady, czy też pomocy.

Uzyskawszy jeszcze jeden pokój od p. Krajewskich, pojechałam do Szczecina po resztę siostr. Tu dopiero panował ruch i zamieszanie – pakowały się przecież dwie rodziny – do Słupska i do Złoczewa. Poprzedniego dnia odbyła się w naszej kaplicy ostatnia Msza św. odprawił ją o. Rajskego. Było to dla nas przeżycie – piękne śpiewane pieśni, piękne przemówienia o. Rajskego o krótkości życia, konsumpcja Pana Jezusa, obmywanie kielichów, mnie przypadło w udziale wypić wodę z popiółka kielichów. Wzruszająca to była chwila dla nas, to likwidowanie kaplicy, którą tak pokochałyśmy.

10 listopada 1949 r. Nowy dzień, nowe nasze życie w Złoczewie. Klasztor nasz to pozostałość po o. bernardynach. Jak miejscowi opowiadają, ostatni bernardyn zmarł przed stu laty. Doczesne szczątki ojców spoczywają w kryptach podziemnych kościoła. Fundator i rodzina jego w oddzielnej

²² Był to kościół i klasztor pobernardyński z XVII wieku. Bernardyni opuścili to miejsce na skutek kasaty domu zakonnego po powstaniu styczniowym. O kościele zob.: W. SOWA, *Historia i Architektura kościoła pobernardyńskiego w Złoczewie, w: Mniszki Kamedulki w Złoczewie 1949-1999. Materiały jubileuszowe, Złoczew 2000*, s. 201-219. Tam też obszerniejsza literatura.

²³ Ps 127 (126).

²⁴ Po kasacie bernardynów w pomieszczeniach klasztornych zamieszkały osoby świeckie.

²⁵ Ks. Antoni Owczarek (1905-1963), dziekan i proboszcz parafii złoczewskiej w latach 1945-1950. Zob.: *Kronika Diecezji Włocławskiej*, 1964, nr 2-3, s. 69-71; W. ROZYŃSKI, W. SOWA, *Szykające się do dziejów parafii pw. św. Andrzeja Apostoła w Złoczewie*, Toruń 2000, s. 86-96.

krypcie pod kaplicą cudownej Matki Bożej²⁶. Stroje na ich zabalsamowanych ciałach dotrzymały się niezupełnie zniszczone do dziś dnia – strzępy dawnej świetności. A z pięknych ciał cóż pozostało? Gdzież ten ziemski majestat, duma rodowa, potęga przed którą chyliły się na pewno niejedne uznojone grzbiety? – *Vanitas vanitatum, et omnia vanitas!* Nędzna nasza kamedułka zaczęła wraz z innymi wśród szeptu odmawianego *De profundis* do krypty fundatorów, by oddać cześć zmarłym, a tak by zadowolić tkwiącą w niej jeszcze ludzką, kobiecą ciekawość. Pochylona, bo niskie sklepienie, przypatrywała się. Na głowie dziedziczki czepiec upięty z białych różyczek, tiulu, wstążek jedwabnych, bogaty strój z na wpół wypłowiałego amarantowego jedwabiu, co te stroje kryją – coś co w szarej kamedulce budziło jakiś lęk, nawet gdzieś w głębi serca tłumioną odrazę, a zarazem coś, co dawało temat do późniejszych jej medytacji. I jeszcze nad jednym zastanowiła się kamedułka – gdzież ten majestat śmierci, towarzyszący zazwyczaj każdemu zmarłemu, nawet temu, który za życia był biedakiem? Widocznie i ten majestat nie trwa długo.

Złoczewską parafię obsługiwał tylko ks. dziekan Owczarek. Ale, aby zmniejszyć nam przykrość chodzenia w parach do kościoła parafialnego, chętnie sam zadecydował, że w pewne dni tygodnia odprawiać będzie Mszę św. i w klasztorze. Pierwszą Mszę św. wysłuchałyśmy w intencji księży biskupów naszych z wdzięczności za oddany klasztor.

Początkowo w Złoczewie znajdowałyśmy się w trudnej sytuacji, ale opatrność czuwała nad nami. Mieszkańcy Złoczewa wspomagali nas, zapraszali do siebie, przez co okazali swą radość z naszego przyjazdu. Wzruszone byliśmy bardzo, gdy jednego dnia zajechała do nas wyładowana fura. Pani, która nią przyjechała z radością nas powitała i powiedziała, że ks. proboszcz z Burzenina, ks. Antoni Skrzypkowski²⁷ przysłał dary. A było na tej furze pełno wszystkiego – mąka, kasza, chleb, tłuszcz, kiełbasa, ziemniaki, nawet poduszka, ciepłe pończochy dla matki przełożonej. Pani ta (gospodyni ks. proboszcza) opowiadała, że ks. proboszcz skoro dowiedział się o naszym przyjeździe, choć nas nie znał, całą noc nie mógł spać, przespacerował po pokoju: biedne siostrzyczki. Boże, Boże, zimno cierpią, nie mają co jeść – i tak w kółko. Zaraz następnego dnia wysłał furę do Złoczewa. Dobroci jego serca nie jeden raz zaznałyśmy i zaznajemy. Nie ma świąt ni jego odwiedzin, by nie przywiózł nam prowiantu, liczonego na grube dziesiątki kilogramów.

Druga dobra dusza, to wspomniana już p. Weronika Bonikowska. Co miała tym się dzieliła, oddała nam pościel, biegała, starała się nam o potrzebne rzeczy. Codziennie, gdy wracałyśmy ze Mszy św. zastawiałyśmy pod naszymi drzwiami mleko, jarzyny itd. W końcu znudziła się jej ta dobroczynność. Oświadczyła mi, że jeśli klasztor do niej przyszedł, to ona w nim pozostanie aż do śmierci. Oświadczenie to poparła oddaniem na rzecz naszego klasztoru jednego morga ziemi, to jest oddała cały swój majątek. S. Weronika stała się naszym dobrym duchem. Była to pierwsza i do tego czasu ostatnia złoczewska kandydatka do klasztoru s. kamedulek.

Był taki okres w 1949 r. jeszcze w Szczecinie, że zasypała nas cała lawina listów od kandydatek – od 15 sierpnia do połowy października naliczyłam 450 sztuk, nie mówię już o późniejszych. Kandydatki powoływały się na ogłoszenie, zamieszczone we wrześniowym numerze katolickiego tygodnika „Niedziela” następującej treści – Panienci, starsze panny, wdowy, pragnące poświęcić się w służbie Bogu i Ojczyźnie w pracy nad sobą jako pustelnice, mogą zgłaszać się do s. mniszek – kamedulek Szczecin (Pomorze), Aleja Wojska Polskiego 84. (Bliższe informacje O.O. Kameduli Kraków – Bielany). Takiego ogłoszenia nie zamawiałam, z pewnością ojciec przeor. Na mój list z pretensjami, jak ojciec przeor śmiał bez mej wiedzy i tak dalej, otrzymałam odpowiedź prawie że tej samej treści. Co to znaczy? Ani Ojciec ani ja nie ogłaszaliśmy nic, więc ktoż? Napisałam do Redakcji „Niedziela” o wyjaśnienie, która w międzyczasie przysłała mi rachunek do zapłacenia. Poprosiłam więc redakcję o przesłanie mi oryginału zamówienia. Po otrzymaniu tegoż, wyjaśniła się rzecz.

²⁶ Fundatorami klasztoru i kościoła byli Andrzej i Zofia z Tarnowskich Ruszkowscy. W kościele klasztorowym do dzisiaj znajduje się łaskami słynący obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem z pocz. XVII wieku. Kult Maryjny szczególnie rozwinięty był w XVIII i XIX wieku. W kaplicy zakonnej znajduje się drugi obraz Matki Bożej Wspomożycielki. Pochodzi on także z XVII wieku. Zob. W. ZALESKI, *Samkietnaria polskie*, Warszawa 1988, s. 490; *Przed Złoczewską Panią*, Źródło, nr 6: 2000, s. 8-9.

²⁷ Ks. Antoni Skrzypkowski, zm. w 1970. Burzenin- parafia leżąca w dekanacie złoczewskim, obecnie w granicach diecezji kaliskiej.

Kandydatka, której nie przyjęliśmy, Wanda Słupecka, dała to ogłoszenie na nasz rachunek, z jakiego powodu i w jakim celu nie wiem, może złośliwie. Zgłaszających się była wielka rozmaitość, ich listy też rozmaite – tklive, płaczące, wzdychające, a nawet jeśli kto zna się na humorze, to i humorystycznie: „Proszę o przyjęcie, mam krowę, 85 lat, jestem babuleńką choć starą, to przecież na pokutę nigdy nie jest za późno”.

I kogo z tych kandydatek przyjąć? Odpisywać sama nie podołałabym, więc skorzystałam z usłużności p. Haliny, która stała się naszą sekretarką. Do rozstrzygnięcia o przyjmowaniu wezwałam ojca przeora. Większość obecnych s. kamedulek, to zniwo ogłoszenia Wandy Słupeckiej – a która z nich wytrwa – Bóg raczy wiedzieć! A jakie elementy złożyły się przy powstaniu pierwszego domu kamedulek w Polsce? Ja uważam, że dwa zasadnicze, a mianowicie dobro i zło. Na element dobra składa się Wola Boża, ujawniająca się już w planach mego opiekuna ks. kanonika Stanisława Miłkowskiego w Wilnie, który wychowywał mnie od wczesnego dzieciństwa i który chyba wysłużył mi to i wyprosił modlitwą, że zostałam kamedulką²⁸. Jego zbożnym życzeniem było sprowadzić kamedulki do Wilna, gdzie już przygotowywał klasztor z kościołem w obszarze ziemi i lasem, który to majątek ofiarował na ten cel obywatel ziemski p. Spinak²⁹, przyjaciel mego opiekuna ks. kanonika Miłkowskiego. W tym celu, skoro wyraziłam pragnienie pozostania kamedulką, wysłał mnie do Francji do La Seyne, bogato mnie wyposażając i z radością odwożąc mnie do klasztoru. Serce jego przepelniała radość, że może po niedługich latach, wróć do Polski z innymi siostrami – Polkami, by w Wilnie założyć pierwszy klasztor s. kamedulek. Będzie miał wewnętrzne zadowolenie, że i on w życiu swym przyczyni się do powiększenia Chwały Bożej, doprowadzając swoje plany do skutku, że zdolności swoje otrzymane z Nieba będzie mógł poświęcić dziełu, które zamierza.

Następnym momentem była akcja śp. ks. kardynała Hlonda i ojca przeora Maryna Kotwickiego z Bielaw w kierunku sprowadzenia nas do Polski, co zostało dokonane. Następnie wysiłek mój i współsióstr, pomoc księży biskupów oraz duchowieństwa i zrozumienie społeczeństwa katolickiego. Przeciwno tym wszystkim momentom bacznie czuwa szatan nad tym, by nie dopuścić do tego, by powstał jeszcze jeden klasztor kontemplacyjny. Czując grożące niebezpieczeństwo na pewno on nasuwał mi pokusy, bym nie wracała do Polski, na pewno on posługiwał się s. X. i s. Stanisławą, na pewno on jeżył utrudnienia w urzędach, on przysyłał kandydatki przynoszące szkodę tak moralną jak i materialną jeszcze w Szczecinie – o których całe tomy można pisać, on zgrzytaniem swych zębów podszeptał Wandzie Słupeckiej pomysł zamieszczenia ogłoszenia.

Po opróżnieniu całego klasztoru z niepożądanych lokatorów przystąpiłyśmy z wielkim zapałem do porządków, by móc wreszcie żyć jak we własnym domu. Dzięki s. Weronice miałyśmy kozie mleko, a dzięki ludziom dobrym zaopatrzenie w żywność.

Zaczęłyśmy więc myśleć i o nas samych. Zbliża się czas, kiedy zakończy się postulat pierwszej partii naszego rusztowania; jak mawiał ojciec przeor. Oblóczyny wypadły na miesiąc luty. Termin bliski, a tyle przygotowań. Przygotować siostry, odbywać lekcje, przygotowywać ceremoniał oblóczyn, tłumaczyć naszą konstytucję z francuskiego, starać się o materiały na habity itd. Nic łatwo nie przychodzi.

Ale w międzyczasie odwiedziły nas kochane, radosne święta Bożego Narodzenia, a z nimi jako prolog – przygotowania. Kucharka s. Helenka nie miała właściwie wiele kłopotu, wszystkie siostry solidarnie pomagały – przygotowywały ucztę wigilijną, na którą zaprosiłyśmy drogiego gościa ks. dziekana. Przyszedł, nie wzgardził ubogą gościnią. Przyszedł z nami pierwszymi przełamać się opłatkiem. Stół wigilijny przygotowaliśmy w dużym pokoju – była choinka. Po przełamaniu się opłatkiem i złożeniu wzajemnych życzeń, zasiedliśmy przy długim stole, zasłanym białym obrusem, pod którym znaczyły się garbki wonnego siana. Jako pierwsze danie – zadysponowane przeze mnie – tradycyjnie wileńskie ślezyki, kto nie jadł jeszcze tego przysmaku, to nie wie co to jest. A to najlepsza rzecz pod słońcem. Mak utarty do białości i gotowany z mlekiem na zupę, przyprawioną na dobre słodko z zapachami. Do tej zupy dochodzi ciasto jak na kluski i pokrajane z okrągłych wałeczków. Te kawałki ciasta piecze się i podaje z zupą. Ks. dziekan wziął jedno takie „ciastko”, chciał je pewno rozgryźć i popić łyżką zupy. Ciekawie przyglądałam się, jak będzie smakował ten przysmak wileński,

²⁸ Zob. W. SOWULEWSKA, Fundacja i rozwój wspólnoty, s. 172.

²⁹ Bliżej nieznan.

oczekując pochwały. Ale ks. dziekan wkładając ślezyk do ust, potrząsając głową, szybko cofnął rękę ze ślezykiem i półgłosem orzekł pytająco – twierdząco – twarde?! I zobaczyłam i usłyszałam jak smakuje mój wileński zachwalany przysmak. Ale proszę wierzyć, ślezyki to coś nadzwyczajnego, ale kucharka musi je właściwie przyrządzić – jeśli kto nie wierzy, zapraszamy na wigilię do nas. Po ślezykach karpie smażone i innym sposobem z kartofelkami, kapusta z grzybami, kompot z gruszek, wino, ciasta, herbata, słodczyce, orzechy.

Wieczór wigilijny zakończyliśmy wesołymi kolędami, tym bardziej wesołymi, że nasza gromadka – to zbieranina ze wszystkich dzielnic Polski, a przecież „gdzie inna wieś, tam inna pieśń” – i tak każda na swoją nutę wyciągała swą radość z Narodzenia Pana. Na pasterkę poszliśmy naturalnie, ks. dziekan przecież przygotował dla kamedulek ławki w presbiterium, by nie przemęczyły się bardzo. W ogóle ks. dziekan dbał o nas, a za to miał z nami niemało kłopotu. Boże zapłać mu za tę jego cierpliwość względem nas. Bo my w każdym kłopotcie do ks. dziekana. Do ścisłej tradycji należała konferencja po codziennej Mszy św. Na tych konferencjach referowałam mu wszystkie sprawy zaistniałe od wczorajszej konferencji, pytałam, zasięgałam porady, on jak przystoi na cierpliwego lekarza – kapłana nigdy nie okazał zniechęcenia.

Przed świętami Bożego Narodzenia ucieszyła nas niespodziewana radosna wiadomość. Nasz dostojny wizytator, nasz ks. biskup – sufragan Franciszek Korszyński³⁰ przyjeżdża. Cieszyliśmy się wołając z radości aż echo od ścian klasztornych nosiło „nasz ks. biskup przyjeżdża, nasz wizytator”. I przyjechał. I oglądał nasz dom. I przyszedł do kuchni i widział, że smażą się pączki i cieszył się razem z nami i błogosławił każdą z osobna i przemówieniu swym serdecznym życzył pomyślnego rozwoju naszej fundacji. Dusze nasze jakby się odrodziły przeżywając takie odwiedziny.

I znowu na nowy rok 1950 miałyśmy piękną uroczystość – uroczystość poświęcenia i przekazania nam klasztoru. W dzień ten do kościoła ściągnęło ludzi, jak na jaki odpust. Po solennej Mszy św., celebrowanej przez ks. dziekana i po pięknym okolicznościowym kazaniu, cała procesja przeciągnęła przez wszystkie pomieszczenia klasztoru. Ks. dziekan święcił, a za nim szliśmy my i procesja pobożnych i ciekawskich. W czasie tej uroczystości zostały mi wręczone klucze do kościoła i klasztoru przez ks. dziekana, wręczając mi je życzył bym jak teraz otwieram bramę klasztoru, otworzyła kiedyś bramę nieba dla powierzonych mi siostr.

Od nowego roku stałyśmy się już właścicielkami klasztoru³¹. Czeką nas teraz druga uroczystość – obłóczyny. Ze względu na zimę, termin ich przesunięty został na 25 marca. Siedem sióstr pierwszych kamedulek zostało obłóczonych. Obłóczyny te były bardzo uroczyste. Sam biskup ordynariusz Karol Radoński raczył przyjechać, by oblec pierwsze kamedulki w Polsce. Licznie zjechało duchowieństwo był i ks. prałat z Sieradza³². Miejscowy chór pod batutą organisty p. Perskiego³³, artystycznym śpiewem chwalił Pana, któremu siedem dusz pragnęło się poświęcić. Podczas obiadu liczne przemówienia. Ks. biskup dziękował Opatrzności za to, że jego diecezja zaopatrzyła we dwa piorunochrony, jeden w Kaliszu s. karmelitanek i drugi tu w Złoczewie, zaczynający swe życie klasztor s. kamedulek. Winszował ks. dziekanowi Owczarkowi tego szczęścia, gorącymi słowami przekazywał mu nas w opiekę, nazwał go kamieniem węgielnym, głównym filarem, podtrzymującym przyszłą budowlę. Inni czcigodni księża zabierali również głos, nasz ojciec przeor i wreszcie i na mnie przysłała kolej, tak niespodziewanie. Mówiłam, ale co mówiłam, tego już nie pamiętam. Wspólna fotografia przypominać nam będzie tę piękną uroczystość. W sąsiedniej sali podejmowałyśmy naszych gości – rodziny naszych sióstr Nowicjuszek i ich rodziców chrzestnych. Nowicjuszki uczyły się wzajemnie swoich imion: s. Cyrenejczyk to s. Maryna, s. Maria Janus to s. Benedykta, s. Gienia Gielas to s. Maria, s. Kasia

³⁰ Franciszek Korszyński (19 I 1893- 3 XI 1962), sufragan włocławski w latach 1946-1962. Zob. H. JANLONOWSKA, *Korszyński Franciszek*, w: *Słownik polskich teologów katolickich*, pod red. H.E. WYCZAWSKIEGO O L. GRZEBIENIA, t. 6, Warszawa 1983, s. 142-144.

³¹ Klasztor i kościół otrzymały siostry wówczas tylko na użytkowanie na okres 30 lat. Obiekt stał się własnością sióstr dopiero 6 V 1986 roku.

³² Chodzi prawdopodobnie o ks. Apolinarego Leśniewskiego (1891-1984), długoletniego proboszcza i dziekana sieradzkiego. Zob. Kronika Diecezji Włocławskiej, 1985, s. 46-47; W. KUJAWSKI, *Kościelne dzieje Sieradza*, Włocławek 1998, s. 253, 315.

³³ Ludwik Perski długoletni organista w kościele parafialnym.

Markiewicz to s. Łucja, s. Helena Słomska to s. Romualda, s. Genowefa Wójcik to s. Scholastyka, s. Zofia Kurełek to s. Józefa – czy wszystkie wytrwają³⁴?

Życie nasze po obłóczynach zaczęło układać się normalnie, Msze św., miałyśmy stałego spowiednika ks. proboszcza z Unikowa Stanisława Miare³⁵ i nadzwyczajnego spowiednika ks. proboszcza z Burzenina Antoniego Skrzypkowskiego.

Zbliżała się wiosna, a więc pora rozpocząć projektowanie przystosowania naszego klasztoru do urzędzenia klauzury i to papieskiej jaka nas obowiązuje. Przede wszystkim urządzenie kraty klauzuruwej, łączącej kościół z naszym przyszłym chórem. Trudno tę kwestię było rozstrzygnąć. Wreszcie komisja w skład której wchodził ks. dziekan Owczarek, ks. proboszcz Skrzypkowski, p. inż. Krajewski i ja, postanowiła, by przesunąć z presbiterium dwa boczne ołtarze na kościół i tak się stało. Miejsce gdzie będzie krata wstawiona wybrano pod amboną – należy wybić kawał muru.

Z początkiem roku przywiozłam s. Teresę ze Słupska, gdyż w praktyce okazało się niemożliwością prowadzić dwa domy. S. Teresa chora nie miała dość energii organizować, a ja ze względu na odległość od Złoczewa nie mogłam być tu i tam – częste wyjazdy pociągają za sobą koszt i wyczerpanie. Więc dom w Słupsku oddaliśmy s. duchaczkom³⁶.

Przysłała wiosna, a z nią prace w ogrodzie, pola nie uprawialiśmy, bo należało jeszcze do parafii. Więc kopałyśmy, siałyśmy i oczyszczały obejście. Od czasu do czasu zjeżdżał ojciec przeor, wszystko kontrolował, doglądał, pouczał i radził. Nie mógł znieść, że kury spacerują po całym podwórzu, zanieczyszczając je, więc parkanem oddzieliło się część podwórza przy zabudowaniach gospodarczych i w ten już kury miały swoją klauzurę ku zadowoleniu ojca przeora.

Ks. dziekan był teraz naszym częstym gościem, omawialiśmy sprawy zaopatrzenia materiałowego dla remontów, zastanawialiśmy się co i gdzie ulepszyć, że dobrze będzie wzdłuż całej naszej granicy nasadzić drzewka szpilkowe, by w ten sposób zastąpić brakujący mur, jak gospodarować naszymi stawami. I gdyśmy tak jednego popołudnia obchodzili całą naszą posesję, ks. dziekan powiedział do mnie: kiedyś, kiedy już cały klasztor będzie odnowiony, wszystko doprowadzone do należytego porządku, gdy w naszym klasztorze będzie ładnie, będzie ładnie zadrzewiony, będą go zdobiły klomby kwiatów, gdy cała ta nasza „Zagroda Betleemska” będzie wyglądała jak bombonierka, to wtedy obydwoje weźmiemy się za ręce furkniami do nieba i stamtąd spoglądać i przypatrywać się będziemy jak nasze s. kamedulki dają sobie radę. Niestety ten nasz kontrakt nie został dotrzymany, bo w niedługim czasie ks. dziekan sam wyfurknął ze Złoczewa, dostał zaszczytne przeniesienie do Kalisza.

Pożegnania zazwyczaj smutne bywają i na pożegnaniu ks. dziekana też nie brakowało, bo zegnaliśmy z wielkim żalem, gdyż traciliśmy naszego przyjaciela, opiekuna i dobrodzieja.

Po odjeździe ks. dziekana zaczęło się dla nas smutne życie. Byłyśmy bez Mszy św. zostałyśmy bez spowiedzi, bo nasi spowiednicy ze względu na swoje obowiązki nie mogli regularnie przyjeżdżać, nieraz po kilka tygodni nie spowiadałyśmy się. A Mszę św. to tylko z Łaski Bożej, gdy jakiś ksiądz – gość zaglądnął do nas. W tym tak przykrym dla nas czasie postanowiłyśmy starać się o własnego kapelana. Kuria odpowiedziała odmownie dla braku kapłanów, jednak zezwoliła nam szukać na własną rękę. Więc pisaliśmy gdzie nam tylko wskazano. Nasz ojciec przeor również wśród świeckich i zakonnych księży szukał – jednak wszystko nadaremnie. Zwróciłyśmy się więc z nowenną do św. Judy Tadeusza, patrona w trudnych i beznadziejnych sprawach – nic, odpowiadamy nowennę do Pana Jezusa – nic. A tu coraz gorzej. Brak Komunii św., brak Mszy św., spowiedzi, w domu zamieszanie, remonty już maj, a jeszcze nie rozpoczęte. Wpadłam na nową myśl, jeszcze jeden ratunek – odprawić nowennę do św. Ekspedyta – błyskawiczną – express – 3-dniową. Wprawdzie przez dwie niedziele ostatnie, tj. w pierwszej połowie miesiąca z litości przyjeżdżał o. orionista³⁷ ze Zduńskiej Woli, ale na stałe nie zdecydował się.

³⁴ Do dzisiaj żyją jeszcze we wspólnocie złoczewskiej s. Maryna (Genowefa Tobiasz) oraz s. Maria (Genowefa Gielas).

³⁵ Ks. Stanisław Miara zm. 1956. Uników- parafia dekanatu złoczewskiego, obecnie w granicach diecezji kaliskiej.

³⁶ Pełna nazwa zgromadzenia: Zgromadzenie Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego de Saxia.

³⁷ Bliżej nieznany.

Trzeciego dnia nowenny po odmówieniu jej ostatnich modlitw, wszedł ktoś do kruchty i dzwoni do furty. S. Weronika za chwilę przyszła i zameldowała, że jakiś ksiądz jest. Wyszedłam czym prędzej do gościa i zobaczyłam przed sobą wysoką wysmukłą postać księdza, który poważnym głosem powiedział, że pragnie odprawić Mszę św. i że jest delegowany przez ks. biskupa do klasztoru na trzy miesiące, ale tylko na trzy miesiące – wyraźnie podkreślił³⁸.

Zaprowadziłam ks. kapelana do pokoju naszego ojca przeora, by się rozgościł, ale ksiądz energicznie choć uprzejmie znowu powiedział – przyjechałem tylko na trzy miesiące i poszedł do zakrystii przygotować się do Mszy św.

Wśród nas siostrzynie radosne zamieszanie, mamy kapelana. S. Benedykta zakrystianka gorączkowo przygotowywała ołtarz do Mszy św., biegła do zakrystii, chciała pomóc ks. kapelanowi przy ubieraniu się, ale zrezygnował z pomocy. Poważnym, elastycznym krokiem wojskowego wyszedł na kościół, niosąc nabożnie przygotowany kielich do Mszy św. Wszedł do presbiterium, ukląkł w pobożnym ukłonie i wstał i dla nas świeży kłopot. Chciałyśmy kapelana i mamy kapelana, ale trochę za wysokiego, bo głowa jego potraciła aż lampkę wieczną – taki wysoki! Z tą jasno – blond fryzurą. I kościelny z parafii miał kłopot, fatygował się aż dwa razy na wieżę, raczej na strych skraćć linię lampki wiecznej.

Pokoju ojca przeora nie chciał, wybrał pokój gościnny, duży o dwu okratowanych oknach. Jak z rozmowy przy śniadaniu, które sama podałam dowiedziałam się, że ks. kapelan wrócił z kuracji z gór, był chory na płuca i teraz przechodzi okres rekonwalescencji. Po zgłoszeniu się u ks. biskupa, został skierowany do Złoczewa na tymczasowego kapelana s. kamedulek. A ks. kapelan wyglądał, że był chory.

Pokój jego, który następnego dnia po przyjeździe umeblował walizkami, stosami książek, skrzynką aparatu radiowego, wypełnił zapachem lekarstw do zażywania, smarowania, pełno butelek i buteleczek – oby tylko się nie pomylił i zamiast nacierania nie wypił. Kurację ks. kapelana zaczęłyśmy natychmiast, nie pozwolimy by u nas się zmarnował.

Ks. kapelan odprawiał nam również nabożeństwa czerwcowe, wygłaszał konferencje – stał się naszym kierownikiem duchowym. Okazał się, że jest to bardzo dzielny, energiczny ksiądz. Po zapoznaniu się z naszymi potrzebami tak duchowymi jak i materialnymi, szybko zabrał się do pracy. Przed wszystkim remonty. Urządzenie klauzury. Sprawdził robotników – majstrów. Wytrzymał odpowiednią kratę aż w Sieradzu, kazał ją wmurować, a następnie w niedługim czasie ogłosił z ambony uroczyste poświęcenie kraty klauzuruwej. Ks. kapelan ma dobry pomysł. Rodzice chrzestni, a było ich ponad setkę, złożyli ładny podarunek, pokazną sumkę.

Zakupił deski, pozakładał prowizoryczne przepierzenia w ścianach, w korytarzach, wreszcie przystąpił do urządzania celek. Dotychczas miałyśmy, ale papierowe, nie trwałe. Celki dla siostrzynie urządził w dotychczasowym magazynie, gdzie było również i moje mieszkanie, bardzo wygodne, bo spałam na podłodze. Musiałam stamtąd wyruszyć.

Magazyn to duża sala o czterech oknach frontu. Tutaj będą piękne cele. Najpierw kazał ks. kapelan zainstalować dwie lampy elektryczne, ściany dokładnie wytynkować, p. Zalewski – malarz, kremowym kolorem wybielił, stolarz zainstalował przepierzenia z desek i jest siedem celek. Siedem siostrzynie wyszorowało podłogi i już się wprowadziły. Takie tempo i tak potrafi kierować pracami ks. kapelana.

W tym również tempie poszło odnawianie frontu klasztoru, jest teraz klasztor biały, czysty i wita radośnie wchodzących na dziedziniec kościelny. Następną turą poszły korytarze i sale klasztorne. W międzyczasie kazał wstawić kuchnię w innym pokoju, dotychczas kuchnia mieściła się razem z refektarzem. Mamy więc i kuchnię i refektarz. Przyszła kolej na urządzenie chóru dla nas. Kazał powynosić, a raczej sam z nami dźwigał zasiedziały, stare komody z dotychczasowej zakrystii, profesjonal, wyrąbał z nami wspólnie niepotrzebną futrynę ze ściany i już był piękny, jasno

wymalowany chór. Ks. kapelan wspólnie z nami urządził chór, a z nim to robota szła sprawnie i szybko.

W przeciągu kilku zaledwie miesięcy oblicze klasztoru nabrało zupełnie innego wyglądu. Wszędzie jasno, wesoło aż od radości, że klasztor nasz coraz ładniejszy.

Tak przedstawiała się sprawa remontów pod kierownictwem ks. kapelana. Przez stosunkowo krótki czas mniej więcej do końca września dużo zostało dokonane przy trudnościach w nabywaniu materiałów i braku źródeł dochodu.

Jesteśmy w przededniu wielkiej uroczystości. Ks. biskup sufragana Franciszek Korszyński przyjedzie 12 kwietnia. Jest tak dla nas łaskawy, że sam będzie celebrował w uroczystości profesji czterech naszych siostrzynie – pierwszych profesek – jesteśmy mu z całego serca wdzięczne za tę łaskę, całym sercem radujemy się przyjazdem czcigodnego dostojnego gościa.

Wierzmy w życzliwość jego ekscelencji w stosunku do nas i teraz i w przyszłości i że zawsze będzie nam w miarę możliwości przychodził z pomocą w naszych potrzebach i będzie wysłuchiwał nasze prośby, a pozwalamy sobie dodać, że również i ekspresy będziemy wysyłać do św. Ekspedyta.

Moc miłych zajęć w związku z przyjazdem ks. biskupa sufragana więc ciąg dalszy naszych tarapatów nieco później nastąpi.

Résumé

L'histoire de la famille camaldule en Pologne compte déjà mille ans. Les premiers camaldules ont même été élevés sur les autels. Néanmoins, nous ne savons pas beaucoup sur les nonnes camaldules bien présentes dans notre pays, ce qui résulte certainement du fait que leur histoire est décidément plus brève que celle de la branche masculine. Dans les années trente du XXe siècle quelques Polonaises sont entrées au couvent des nonnes camaldules à La Seyne-sur-Mer en France. Quatre nonnes polonaises qui ont traversé les étapes successives de la vie monastique pensaient revenir dans leur patrie. Elles n'y ont pourtant réussi qu'en 1948. Après plusieurs difficultés liées à la recherche d'une maison convenable, elles se sont installées à Złoczew, un petit village situé au centre de la Pologne, près de Sieradz.

Dans les archives du monastère, on retrouve la chronique des débuts des nonnes en Pologne. Elle a été probablement rédigée par la mère Gemma Eliza de l'Immaculée Conception (Jadwiga Szukielojć, 1913-1963), la première supérieure de la communauté camaldule qui venait de s'établir en Pologne. Malgré son caractère décidément subjectif, le texte de la chronique est intéressant parce qu'il nous fait connaître la genèse et les premières années de la fondation des nonnes en Pologne. La chronique concerne la période à partir du mois d'août 1948 jusqu'au mois d'avril 1951, cela veut dire presque trois ans. En ce temps, les nonnes ont quitté la France, sont venues en Pologne, ont cherché la maison pour le monastère et se sont finalement installées à Złoczew. La moitié de la chronique a pour le sujet le séjour à Złoczew. En ce temps-là, l'ouverture canonique de la maison n'avait pas encore eu lieu, ce n'est qu'en 1956 que l'évêque de Włocławek Antoni Pawłowski a promulgué le décret de fondation du "Monastère des Nonnes Camaldules".

³⁸ Kapelanem został mianowany ks. Jan Nagel (1922-1975). Pochodził z Gdańska Wrzeszcza, jednak młodzieńcze lata spędził w Wilnie. Tu zastała go wojna i okupacja. W 1945 roku wstąpił do Seminarium Duchownego we Włocławku. Okres okupacji pozostawił ślady na jego zdrowiu i psychice. Święcenia kapłańskie otrzymał dnia 12 VI 1949 roku. Pracował jako wikariusz w: Pyzdrach, Kaliszu, Złoczewie oraz jako proboszcz w Woli Pierowej, Unikowie, Skęczniewie oraz Rychwale. Kronika Diecezji Włocławskiej, 1976, s. 236-237.